

Dobiegając powoli trzydziestki, zacząłem się coraz częściej oglądać za siebie. W sumie, dni, miesiące i lata miały sobie fajnie, w moim życiu nigdy nie zagościły banał i nuda. Poczulem jednakże niepokój, że to wszystko co pozostawiam za sobą - ogrom przygód, wydarzeń, ludzi, miejsc i wrażeń uzbieranych podczas podróży, zaczyna tracić ostrość, zlewając się w jednolitą masę. Postanowiłem więc jak najszybciej zatrzymać ten proces, utrwalając wrażenia i myśli. Szczęściem, zawsze robiłem notatki. Wystarczyło je teraz uporządkować, oczyścić z rzeczy zbędnych, których nie zamierzam zatrzymywać w pamięci, ani też się nimi z Wami dzielić. Zbierając wspomnienia i zapiski, zachowałem oryginalną stylistykę pisania i formułowania myśli, dzięki czemu książka jest również zapisem mojego dojrzewania.

Pierwszy rejs Zawiszą Czarnym jest więc relacją szesnastolatka, nieustannie „nagradzanego” karnymi wachtami buntownika, który nie tylko bosmanowi założył za skórę. Tę opowieść, mimo iż chronologicznie powinna otwierać moje przygody, umieszczam w środku, ponieważ stanowi znakomite wejście do wyprawy oceanicznej.

Do Moskwy, a rok później do Mongolii, wyprawia się osiemnastolatek ogromnie ciekaw świata, ale też ostrożny chwilami aż do pokory wobec otaczających go zjawisk. A za rok, w kolejnej podróży wiodącej od poradzieckich republik aż do Tajlandii, bierze udział trójka arogantów dokonujących ryzykownych eksperymentów z otaczającą ich rzeczywistością – aż po granice rozsądku. Nie chciałem nic w tym rozdziale opuścić ani wygłaskać, bo przecież skądś musiał się wziąć następna postać, dwudziestojednolatek, który rok później, zrozumiawszy że podróżuje się nie tylko przez oceany i kontynenty ale również w głąb siebie, wybiera samotność wędrując „stopem przez Atlantyk”. A potem jeszcze dalej i dalej, przez pół roku przemierzając wzdłuż i wszerz kontynent południowoamerykański. Wówczas dopiero, zbierając kolejne doświadczenia, skazany na niezależność i samotność, zacząłem odnajdować samego siebie.

Nie usiłując dostosować tekstu do siebie, jakim jestem dzisiaj, uzyskałem zapis zmian zachodzących we mnie w miarę dojrzewania i zdobywania doświadczeń. Odmienne formy poszczególnych rozdziałów, również nie są przypadkiem. Czasem poprzestaję na krótkich zapiskach, fragmentach, żeby Czytelnik ledwie skosztował przysmaków i mógł mknąć dalej, nie przedzierając się przez mielizny opisów, które po stokroć czytał w stu innych książkach. W innym miejscu staram się opowiedzieć nieco dłuższą historię, bo jest tego warta.

Preludium

Szkoła pokory

W wieku siedmiu lat uprawiałem badminton, przez heretyków zwanego kometką. Miałem wówczas mnóstwo fajnych kumpli, z których jeden został olimpijczykiem, drugi utopił się w Bałtyku, a kilku zmieniło uprawianą dyscyplinę na organizację przestępczą... Wówczas jednakże,

podczas obozu treningowego, łączył nas sport oraz wspólnie uprawiana sztuka przetrwania w świecie, którym rządziły rygorystyczne zasady wprowadzane przez zakompleksioną zgraję wuefmenów.

O 6:50 pobudka. O 7:00 zbiórka na korytarzu, wszyscy gotowi na zaprawę poranną. W ciągu dziesięciu minut trzeba było się ubrać, idealnie pościelić łóżko, zrobić porządek na półkach i zdążyć jeszcze do toalety. Najmniejsza fałda na pościeli czy mikroskopijny nieład w ubraniach oznaczały karne ćwiczenia. Specjalna komisja nadgorliwych belfrów wychowania fizycznego czerpała niezwykłą przyjemność z karania nas, wiecznie niedoskonałych, ciągle nieposłusznych. Wyniki inspekcji oznaczano na wielkiej tablicy kolorami. Czerwony, czyli syf z malarią, panował u nas. U pań na tablicy wiecznie radośnie zielono, a w pokoikach nieustannie czysto. Po inspekcji wybiegaliśmy na nudną i męczącą rozgrzewkę. Po niej śniadanie i kolejne treningi. Czasem dwa, a zazwyczaj trzy dziennie. Cały dzień w ruchu i cały dzień pod kontrolą. Nie wiem, czy to my nie potrafilimy się zachować, czy po prostu wszelkie działania były zabronione. W efekcie łapaliśmy kolejne kary za niezjedzony obiad, podglądanie dziewczyn, czy nierówno ustawione kaptcie. Po kilku godzinach treningowej wyrypy, kiedy czyścioszki miały czas wolny, my, grzesznicy, biegaliśmy dookoła ligowego boiska. Pilot, czyli rozwalenie łóżka, kosztował siedem okrążeń i dla mnie stanowił dzienną bazę, bo pilota miałem codziennie. Do tego dochodziły inne premie lotne które łapałem w ciągu dnia. W sumie mogło się nzbierać parę kilometrów biegiem, czyli czwarty, wieczorny trening.

Trenowałem konsekwentnie pięć lat, nie odnosząc wprawdzie wybitnych sukcesów sportowych, ale uodparniając się ogromnie na serwowane przez trenerów procesy wychowawcze w wyniku czego mój kręgosłup usztywnił się w tym czasie ogromnie. Rezygnując z uprawiania badmintonu, wspaniałej skądinąd dyscypliny, czułem się jakbym wyszedł do cywila po dwudziestu latach służby w Legii Cudzoziemskiej. Mój pierwszy obóz był też ciekawą wskazówką wychowawczą dla moich rodziców. Mama dała mi na wyjazd 5000 starych złotych, banknot z Szopenem, na oranżadę i inne drobiazgi. Nigdy wcześniej nic sobie sam nie kupowałem i nie za bardzo wiedziałem, na czym to polega. Do domu wróciłem więc z nierozmienionym Szopenem i całą plejadą wybitnych postaci drukowanych na banknotach, bo nie dość, że nic nie wydałem, to jeszcze udało mi się zarobić kilka stów. Niespodziewanie okazałem się mistrzem masażu. Po ciężkich treningach masowałem starszym chłopakom zbolące plecy, zarabiając przy tym pierwszą kasę w życiu. Mama nie mogła się nadziwić zdolnościom dziecka do pomnażania majątku. Do dziś zresztą została mi skłonność do oszczędzania, a nadto, przez kilka lat pracowałem jako masażysta. Co jednak najważniejsze, dowiedziałem się, że do podróżowania nie są potrzebne pieniądze.

Flagi wszystkich państw

Zanim na serio zainteresowałem się panienkami, życie moje wypełniały sport i przeróżne zajęcia podwórkowe. Całe dnie, niezależnie od pogody, spędzałem, kopiąc piłkę. Babcia Krysia wprawdzie tłumaczyła, że ligowe mecze trwają dwa razy po 45 minut, a nie raz sześć godzin ciurkiem plus dogrywki, jednakże podwórkowe turnieje miały odrębne zasady. Po prostu graliśmy tak długo, aż jedna z drużyn się rozpadła, bo jej zawodnicy musieli już iść do domu.

Poza olimpijskimi dyscyplinami sportu, oddawałem się także durnym grom, wśród których prym wiodły kapsle. Wprawdzie nie rozwijały inteligencji ani sprawności fizycznej, no może poza

muskulaturą mięśni palca wskazującego. Okazały się jednak w moim życiu bardziej przydatne, niż można było się wówczas spodziewać. Najpierw używaliśmy do gry zwykłych kapsli od butelek po piwie, potem zastąpiły je delikatne, miniaturowe opakowania po chińskich maściach od bólu głowy. Na plastikową „poduszkę” wyjętą ze zwykłego kapsla kładliśmy flagę, wszystko razem owijaliśmy folią, po czym wciskaliśmy do wnętrza pudełeczka. W ten sposób każdy kapsel stawał się niepowtarzalnym okrętem podróżującym pod banderą jednego z blisko dwustu państw świata, popychanym pstryknięciami po asfalcie osiedlowych uliczek.

Niezwykle trudne do zdobycia, a przez to najcenniejsze, były „flagi z brązem”, na których w tym właśnie kolorze wypisana była nazwa kraju. Miałem ich całą kolekcję. Chociaż od tamtego czasu minęły już ponad dwa dziesięciolecia, dziś jeszcze pamiętam flagi niemal wszystkich państw świata. Nawet przez myśl mi wówczas nie przeszło, że dziwny „robot” na fladze Mongolii czy wschodzące słońce Antigua i Barbuda będą mi kiedyś tak bardzo bliskie. Nawet w najśmielszych marzeniach nie mogłem wówczas myśleć o tym, że pewnego dnia odwiedzę niemalże wszystkie miejsca, których nazwy znałem z tej głupawej zabawy.

Sporty ukształtowały we mnie wytrwałość w dążeniu do celu, a kapsle znajomość państw świata. Rodzice, odkąd skończyłem pięć lat, systematycznie poddawali surowym testom moją dojrzałość na obozach przetrwania i poligonach komandosów. W domu, odkąd pamiętam pojawiali się różnej maści szaleńcy i wariaci, w postaci podróżników, ekstremalnych nurków, wspinaczy, żeglarzy i tym podobnych. Ci przedziwni ludzie opowiadali fascynujące historie, byli pełni energii i mieli w oczach jakiś niesamowity błysk. Chciałem być sportowcem, komandosem, nurkiem, podróżnikiem – co chwilę to się zmieniało. Wiedziałem tylko tyle, że drogę muszę znaleźć sam. Jeszcze nie znałem kierunku, ale jak to w życiu bywa, kiedy otwieramy się na świat, nagle odpowiedzi zaczęły przychodzić same.

Rozdział I

MOSKWA ZACZAROWANA

Wiedząc, że szukanie własnego miejsca na świecie przynależy naturze ludzkiej, jeszcze na etapie szkoły średniej intuicyjnie czułem parcie na wschód. Nie wiem czemu, ale tak było, dokładnie odwrotnie niż u większości spośród moich poukładanych rówieśników.

Ruska dusza

Uczyłem się rosyjskiego. Na początku była to jakaś makabra, ale po obozie rusycystycznym w Szczecinie zacząłem wreszcie czuć poetykę języka Aleksandra Puszkina i Włodzimierza Wysockiego. Tam właśnie poznałem Janę, nauczycielkę z Moskwy, dziś moją wspaniałą przyjaciółkę, dzięki której najbliższy przystanek, w drodze do Azji, zawsze wypadał na Kuznieckim Prospekcie. Dzięki Janie, a także jej rodzinie i przyjaciołom, poznałem i pokochałem zarówno rosyjską stolicę, jak i „ruską duszę”.

Nie rozumiałem dlaczego Jana zaprosiła właśnie mnie do Rosji. Byłem niegrzeczny, po rosyjsku mówiłem tak sobie. Na obozie głównie kompromitowałem się grając na gitarze rosyjskie

piosenki. Słuch mam słaby, a głos jeszcze gorszy, ale rosyjskim nauczycielom tak bardzo zależało żeby ktoś z nas wystąpił, że za każdym razem jakoś wkręcali mnie w występ solo. Ze względu na mój talent muzyczny na pewno nie zostałem wybrany. Jednak to właśnie mnie zaproszono do Moskwy. Postanowiłem wyjechać jeszcze w tym samym roku. Gdy ruszyłem w podróż, zacząłem się zastanawiać, z czym dotąd kojarzyła mi się Moskwa. Historycznie ze Stalinem i carami Wszechrosji, z Kremlm i Placem Czerwonym, a współcześnie z setkami zamarzających zimą bezdomnych i nowymi Ruskimi zapełniającymi petrodolarami kasy szwajcarskich banków. Słyszałem o gigantycznych budowlach epoki stalinowskiej, o szerokich ulicach dzielonych pasami rządowymi. Nie wiedziałem zaś absolutnie nic o, niepojętej dla innostrzańca, nieobliczalnej naturze mieszkańców tego przeogromnego kraju.

Sznurek bezpieczeństwa

Przygoda rozpoczęła się już w „Polonezie”, w przedziale dzielonym z dwoma Rosjanami: spokojnym biznesmenem z Moskwy i chemikiem z Nowosybirsk. Rozmawialiśmy o Rosji, Polsce, kulturze, muzyce, o tym, co nas dzieli, a co łączy, a także o bezpieczeństwie podróży pociągiem. Zderzaliśmy opowieści i teorie dotyczące tego zjawiska. Zdaniem Rosjan, najgorzej było po przekroczeniu polskiej granicy. Zgodnie z zasadą: boimy się tego, czego nie znamy, uważali, że „w domu” nic złego wydarzyć się nie może, a dopiero nasz „dziki Zachód” jest kolebką kryminalistów i mafiosów.

Chemik, który bał się przede wszystkim Polaków, a Rosjan nie, przekraczając poprzednio granicę pod Brześciem, o mało nie został ofiarą napadu. Do pociągu wdarła się grupa bandziorów i rozpoczęła plądrowanie przedziałów. Usłyszawszy hałas w korytarzu, sprytny chemik przywiązał klamkę drzwi do łóżka. Po sąsiedzku uzbrojone bandziory wyciągały od pasażerów, co się tylko dało, a jemu sznurek uratował sporo kasy, a być może i życie. Od tamtej pory woził ze sobą metr porządnej linki. Na szczęście, tym razem nie była mu potrzebna. Dla mnie, niedoświadczonego młodziaka, sama wizja napadu była wystarczająco przerażająca. W myślach powtarzałem sobie, że odtąd nigdzie się nie ruszę bez kawałka sznurka.

Pod Terespołem gaduła z Nowosybirsk zapowiedział, że na granicy wymienią nam koła. Szutka? Okazuje się, że nie. W Brześciu, wagon razem z zawartością podnieśli na półtora metra wysoko i wyciągnęli wózki z kołami. Zaskoczyła mnie absolutna oczywistość, że Rosjanie mają rozstaw kół szerszy o 17 centymetrów. A to ponoć car Aleksander II, za panowania którego rozpoczęto budowę kolei żelaznej, dość swobodnie traktował kwestie konstrukcyjne. Specjaliści rozważający w obecności władcy, czy tory nie powinny być szersze od europejskich, usłyszeli komentarz: „Na chuj szirje!?” No i tak już zostało.

Wsio balszoje

Wysiadłem na Białoruskom Wokzale, gdzie, wbrew oczekiwaniom, nikt po mnie nie wyszedł. Zatelefonowałem, nikt nie odbierał. Nikt nie odbierał, bo przecież jechali po mnie w tym czasie. Jakoś nie budziło to we mnie obaw, czułem przez skórę, że wszystko będzie w porządku. Trochę mi tylko przeszkadzał kurewsko zimny klimat, bo było na minusie dobre dwadzieścia stopni Celsjusza. Po kwadransie odnalazłem Janę, która w futrze i wielkiej czapie, nie przypominała Jany

poznanej latem w Szczecinie. Marnie jeszcze władałem rosyjskim, ale skoro przyszła, to znaczy, że się dogadaliśmy. I że wszystko będzie „normalnie”, jak to w Rosji.

Moskiewskie metro jest stare i piękne, a ruchome schody tak długie, że wchodząc na nie, nie można zobaczyć drugiego końca. Spod Kuznieckiego Prospektu, w pobliżu którego mieszkałem, mknąłem pod ziemią do Centrum. Wydobywałem się na powierzchnię i teraz dopiero widziałem, jak przestronne i rozległe było miasto. I wszędzie daleko. A tubylcy, na pytanie „jak daleko?”, zwykli odpowiadać: rjadom, czyli obok, co znaczyło, że w obrębie Moskwy, długiej na grubo ponad sto kilometrów. I zawsze z życzliwością wskazywali drogę, bez względu na to, czy wiedzieli, czy nie.

Szybko też zacząłem rozumieć polski żart, że u Rosjan nawet krasnoludki są największe. Moskwa to gigant: wielkie są Teatr Balszoi i Uniwersytet Łomonosowa, niesamowicie szerokie ulice, a „pałaców kultury” mają aż siedem. Ponoć Stalin postanowił uczcić 800-lecie miasta, wystawiając osiem gigantycznych budowli – jedną za każde sto lat. Moskwa jest położona na wzniesieniach. Giganty miały więc stać po jednym na każdym z... siedmiu wzgórz. Ósmy batiuszka upchnął w Warszawie. Co ciekawe, opowieść tę usłyszałem w Moskwie a nie w Warszawie. Opowiedziałem ją więc potem kilkadziesiąt razy, oprowadzając po naszej stolicy... grupy niemieckich turystów.

Moskiewskie osobiennosti

Miałem niezwykle szczęście odkrywać Moskwę pod opieką Włodzimierza, profesora historii z Uniwersytetu Łomonosowa, który oprowadzał mnie po osobiennostiach rosyjskiej stolicy. W swoich opowieściach zaczarowywał dla mnie Moskwę, oprowadzał po miejscach znanych i nieznanym, po starych księgarniach, cerkwiach zagubionych gdzieś w nowoczesności miasta. Zdawał się znać na wylot każdy zakątek, a wszystkie zwiedzane miejsca miały swoje legendy i niezwykle historie.

Sam zaś szukałem punktów zaczepienia z tym, co znałem, z czym kojarzyłem miasto wcześniej. Największą więc przygodą była dla mnie wycieczka szlakiem „Mistrza i Małgorzaty”. Podróż po krainie ze stron książki Michaiła Bułhakowa rozpoczęliśmy na Patriarszych Prudach, gdzie Berlioz poznał Wolanda. Siedzieliśmy na tej samej ławce, co książkowi bohaterowie. Zarówno mojego przewodnika jak i mnie dziwiło jedynie, iż nigdzie w okolicy nie jeździł tramwaj, pod którego kołami miał za chwilę zginąć Berlioz. Więc może nadal żyje? Ot, szczegół rozmijający się z rzeczywistością. Oglądaliśmy domy, na dachach których lądowała Małgorzata. Włodzimierz opowiadał mi książkę i krok po kroku pokazywał miejsca odwiedzane przez jej bohaterów. Poza literaturą, pasją Wołodii była socrealistyczna architektura Moskwy.

Najślawniejszym bohaterem dziwacznych historii i anegdot związanych z tą materią był nikt inny jak sam Stalin. Jedną z tych opowieści dotyczyła znanego wszystkim hotelu Ukraina. Otóż batiuszka, podjąwszy decyzję o budowie kolejnego monstrum, ogłosił anonimowy przetarg na projekt budowli. Nieszczęśliwie zwycięzca konkursu zachorował na serce akurat wtedy, gdy wielki wódz zażyczył sobie obejrzeć projekt. Ktoś, niewiele myśląc, poszedł do pracowni, zdarł płachtę ze ściany i zaniósł przywódcy. Gdy pomysłodawca wyszedł ze szpitala, mało nie dostał zawału po raz wtóry. Na ścianie wisiały obok siebie dwa projekty, a Stalin zatwierdził je jako jeden. A ktoś później ośmieliłby się podważyć jego decyzję? Hotel Ukraina jest dziś obrzydliwie

niesymetryczny, zaś kondygnacje prawej i lewej części są względem siebie przesunięte o pół piętra. Anegdota już nie dopowiada, który z dwóch sławnych architektów wówczas zaniemógł a i gdzie był jego współnik, jako że autorami dzieła byli dwaj mistrzowie Arkadij Miordwinow i Wiaczesław Ołtarzewski.

Również Dima, mąż Jany, u której mieszkałem, był znakomitym przewodnikiem. Tyle że jego świat nie opierał się na literaturze, ale na tradycji i kulturze, czyli piciu wódki i piciu wódki. Pewnego dnia pokazał mi zegar, w którym na godziny parzyste, zamiast kukułki, wyskakiwał zając, a na nieparzyste niedźwiedź. Natomiast godzinę przed południem pojawiał się wilk. W czasach Breżniewa wódkę sprzedawano od godziny 11.00, więc utarło się powiedzenie, że nadchodzą wremia wołka (czas wilka) i będzie można dokonać zakupów. Dima wiedział, że takie zakupy są bardzo ważne, bo lubił strzelić sobie kieliszczyk. Najchętniej co kwadrans. Stąd też drugi dzień pobytu w Moskwie rozpoczął się dla mnie o godzinie szesnastej, gdy wreszcie odzyskałem przytomność, utraconą poprzedniego wieczoru w efekcie wypicia z Dimą dwóch butelek jakiejś dziwnej substancji. Ocucili mnie jakąś specjalną wodą mineralną – smakowała okropnie, ale skutecznie stawiała na nogi. Od tamtej pory już nie dziwiłem się, gdy stałem w kolejce w sklepie spożywczym i słyszałem, jak kolejne osoby zamawiały: ogórek i pół litra, chleb i pół litra, pasztet i pół litra. Wyróżnialiśmy się z Dimą wśród tłumu, zamawialiśmy pielmieni – rosyjskie pierożki i... pół litra.

Wśród opowieści o „cudach” Moskwy Dima najczęściej przytaczał historie ze swojej ulubionej dyskoteki (w której był tylko raz w życiu), charakteryzującej się tym, że do godziny 22.00 wchodziły jedynie dziewczyny, zaś alkohol jest za darmo. Następnie wpuszczani są panowie. Płacą wprawdzie słono, ale panie są już „zrobione” i gotowe do... i tu Dima nigdy nie kończył zdania. Był jednakże tym zachwycony. Marzył nawet o tym, że kiedyś uda mu się wyrwać z domu i ponownie odwiedzić owe magiczne miejsce. Oboje z Janą byli bardzo mili i w każdej sytuacji pomocni, a kiedy pytam co u nich, zawsze słyszę: „Normalnie”. Nigdy nie wiem, czy to źle, czy dobrze, bo odpowiadają jakoś bez emocji.

Drechy w Balszom

Pewnego wieczoru poszliśmy do Teatru Balszom na „Jezioro Łabędzie”. Ponieważ Jana była nauczycielką francuskiego, towarzyszyła nam grupa Francuzów, przebywających akurat w Moskwie na wymianie językowej. A tam, taka historia: Oprócz stałych miejsc dostawia się całe rzędy krzeseł. Ponieważ siedzący na nich słabo widzą, więc przesuwiają krzesła do przodu. Siedzący za nimi, by cokolwiek dojrzeć, muszą robić to samo. W najciekawszych momentach przedstawienia, ludzie na balkonach i w łóżach, którym nie udało się zająć miejsca przy balustradzie, wstają, żeby lepiej widzieć scenę. W pewnym momencie, gdy już cały teatr stał w komplecie, pani pilnująca porządku podeszła do zawczasu upatrzonej pary i kazała obojgu usiąść. Zdumienie ofiar było bezgraniczne: „Dlaczego my, skoro tysiąc innych ludzi stoi?”. Groźba wezwania służb porządkowych posadziła krnąbrnych widzów na tyłkach. Siadać! Tak sobie właśnie wymyśliła kobieta sprawująca władzę, kobieta w mundurku, **kobieta - nikt**. Usiedli więc zdumieni, niemalże zszokowani, bo to trafiło właśnie na naszych Francuzów, w dodatku

nauczycieli opiekujących się grupą. Zastanawiałem się jednakże, czy wpływu na wybór ich właśnie nie miał przypadkiem fakt, że przyszli do przybytku kultury narodowej... w adidasach i dresach.

Był to zarazem pierwszy przypadek, kiedy moją uwagę zwróciła nieodparta potrzeba wykorzystywania władzy przez Rosjan, jeśli już ją posiadali. Ileż razy później nawyzywał mnie policjant, kiedy tylko zszedłem z chodnika na jezdnię w niedozwolonym miejscu, czy operatorka ruchomych schodów, kiedy źle trzymałem się poręczy. Zawsze zwracali się jak do kogoś gorszego – z pogardą i arogancją, tak bardzo byli dumni ze sprawowanej przez tę chwilę władzy. Pewien policjant zarezerwował sobie stanowisko kontroli na wjeździe do bardzo bogatej dzielnicy [jakiej dzielnicy?] Moskwy. Upatrzył tam sobie najnowszy model mercedesa, który codziennie zatrzymywał. Samochód podjeżdżał, właściciel jedynie wystawiał rękę podając policjantowi sto dolarów. Policjant żył jak pączek w maśle. Pewnego dnia jednak samochód się nie pojawił. Kolejnego też nie. Przez cały tydzień nic. W kolejnym tygodniu mercedes ponownie przejeżdża i policjant go zatrzymuje. Właściciel opuszcza szybkę, a policjant mówi: Co się z tobą działo? Cały tydzień nic. Nowy Ruski na to: Wiesz, żona narzekała, dzieci się nudziły, musiałem ich zabrać na wakacje na Malediwy. Na to policjant: Rozumiem, ale czemu za moje pieniądze?

Tak niezwykle przygody spotykają mieszkańców Moskwy na każdym kroku. Znajdując się w tłumie, czułem, że nie mogę liczyć na uprzejmość, uśmiech czy miłe słowo. Ludzie pędzili zapatrzeni w przestrzeń, byleby prędzej uciec z tego piekła. A całe miasto oblepione było plakatami: „Nikt nam nie pomoże, oprócz nas samych”. Slogan ten, niestety, miał zachęcać obywateli jedynie do płacenia podatków.

Nowi Ruscy

Kontrasty jak u nas, z małym wyjątkiem, bogaci byli jeszcze bogatsi, biedni jeszcze biedniejsi, a średnich ani widu, ani słyhu. Ulicami jeździły pojazdy dwóch kategorii: tanie, stare rosyjskie łady i moskwicze oraz nowe, najczęściej najnowsze i najdroższe modele zagranicznych marek. Ostatnie w większości ozdobione „kogutami”, które kierowcy włączali, gdy się im spieszyło. A spieszyło się im zawsze. Na główniejszych ulicach, poza dziewięcioma lub dwunastoma pasami w jedną stronę, znajdował się dodatkowo pas rządowy dla wozów szczególnie uprzywilejowanych. **Co najlepsze**, samochody jeździły nim w obu kierunkach. Podział finansowo - klasowy dostrzegalem tu w każdej dziedzinie życia. Zarówno na ulicy, jak i w teatrze, gdzie bilety można było nabyć w cenie od 20 do 1000 rubli. Różnice powodowały izolację bogatych od biednych. Do drogich sklepów, gdzie ceny przypominały numery telefonów międzynarodowych, zwykli ludzie po prostu nie wchodzili. Już wówczas funkcjonował żart, jak jeden Rosjanin mówi do drugiego że kupił piękny zegarek Patek za pięćdziesiąt tysięcy dolarów. A drugi odpowiada: Ale jesteś frajer, taki sam zegarek mogłeś kupić ulicę dalej za siedemdziesiąt tysięcy.

Wszystko zmieniało się w zawrotnym tempie. Być może, gdy ktoś z was pojedzie tam za jakiś czas, pomyśli: „Co ten facet napisał?”. Jednak jeszcze 20 lutego 1999 roku taką właśnie Moskwę widziałem. Potem byłem tam jeszcze wiele razy. Do dziś pamiętam jednakże pierwszy obraz, który zostawił niezatarte wrażenia. A ten pierwszy wyjazd na Wschód zafascynował mnie tak bardzo, że postanowiłem koniecznie zobaczyć, co tam jest za horyzontem. Parę miesięcy później ponownie

byłem w rosyjskiej stolicy, tym razem stanowiącej nie cel, ale początek podróży. Celem bowiem była poradziecka Azja.

Rozdział II

TRANSSYBEREM NA WSCHÓD

Syberia, Mongolia, Chiny, Bajkał, Sankt Petersburg

Marzenia trwały kilka miesięcy, a przygotowania, od decyzji do wyjazdu, zaledwie trzy dni: ambasada, internet, zakupy, pakowanie... Zupełnie spontanicznie zapytałem pewnego dnia na uczelni, podczas zajęć z angielskiego, kto jedzie ze mną do Mongolii? Zgłosił się Kuba Szczęsny. Ze szkolnego atlasu wydarliśmy mapę w skali 1:10 000 000 i z warszawskiego Dworca Wschodniego wyruszyliśmy do Terespoła. Wkrótce daleko za nami pozostała granica Polski, polskie jedzenie, za którym tak bardzo później tęskniliśmy, a także poczucie bezpieczeństwa. Dopiero po kilku latach zdałem sobie sprawę, ile niesamowitego szczęścia mieliśmy, wychodząc cało z kolejnych opresji podczas tej podróży. Zanurzyliśmy się w przedziwny świat, w którym już od Brześcia nie ma żadnych biletów w żadnej kasie, ani jednego wolnego miejsca w hotelu, nawet pustym. Po czym, jak się pogadało z ludźmi, wszystko można było załatwić. Wschodnia praktyka cwaniacko-dyplomatyczna była jednym z ciekawszych i ogromnie przydatnych doświadczeń.

Monotonia krajobrazu

W Azję zanurzyliśmy się już na Dworcu Jarosławskim. Wchłonął nas obładowany tysiącami kartonowych pudeł i tobołów tłum Mongołów, co chwilę bezpardonowo porządkowany przez rosyjskich mundurowych, którzy przy tych małych ludzikach wydawali mi się olbrzymami. Nagle jeden z nich uderzył z całej siły w brzuch stojącego przy mnie człowieka, ot tak, trochę jakby dla rozrywki. Jednak bardziej niż ta przemoc przeraziło mnie jego spojrzenie pełne pogardy. Widać w tym było absolutny brak tolerancji, potrzebę udowodnienia swojej wyższości. Zacząłem się zastanawiać, kto jest straszniejszy, czy „dzicy”, śniadzi Mongołowie z wielkimi tobołami, czy bezwzględni rosyjscy służbiści. Zacząłem utożsamiać się z tymi pierwszymi, przez to pokrzywdzenie i poniewieranie właśnie oni stali mi się bliżsi. Łączył nas wspólny los, a może wspólny bunt przeciw idiotycznej przemocy. Płynąc wśród tłumu rozkrzyczanych Azjatów, przedzierając się przez zwaliska ich niezliczonych bagaży, wdarliśmy się z Kubą do pociągu.

W rosyjskim wagonie w jednej chwili mija uczucie zagubienia i obcości. Pięć dni na szlaku transsyberyjskim jest przede wszystkim niezwykłym wydarzeniem towarzyskim. Pękamy ze śmiechu na myśl o snobistycznych turystach z Zachodu, którzy skazani sami na siebie, w ekskluzywnych wagonach legendarnej kolei kontemplują monotonię krajobrazu: Rosja – las, las, las..., a potem Azja – step, step, step... Zapłacili za tę przyjemność tysiące dolarów, a dla „normalnych” ludzi bilet do Irkucka kosztuje 35 „papierów”. I mamy iście rosyjską atmosferę, ze śpiewaniem, długimi dysputami o ludzkim losie i popijaniem Stolicznoj. Podróżujący z nami Rosjanie, bo zaczynamy podróż w rosyjskim wagonie są bardzo dobrze przygotowani do

podróży. Witają się serdecznie, szczerze uśmiechają, powolnie wykonują rytualne czynności, takie jak parzenie herbaty, mycie zębów, zmiana skarpet, otwieranie kolejnych butelek, czy słoików z ogórkami i znowu butelek... Podróż „transsyberem” ma w sobie więcej z transu niż z Syberii. Pociąg pędzi, za oknem nuda powtarzającego się jak w kalejdoskopie krajobrazu, a w środku przyjazny, magiczny spokój.

Sto wagonów

Pociąg mknął, zmieniały się strefy czasowe, a tu biesiadując przy wódce i śmierzdzącej, suszonej rybie trwaliśmy w opowieściach o carach Rosji. Drugiego dnia daliśmy czadu, flaszka gonila flaszkę, zakąszaliśmy ogórkami i tą rybą. Zapomnieliśmy o niebezpieczeństwach, przestroгах i zdrowym rozsądku. Odplynęliśmy. Nie wiem czy przełomowa była ilość alkoholu czy jego jakość. Szczęście, że wzrok obaj mamy nadal dobry.

W rezultacie libacji przez dwie doby nie podnosiliśmy się z łóżek, nie przyjmowaliśmy pokarmu, nie wydawaliśmy żadnych dźwięków. Kuba cudem znalazł w sobie jakąś magiczną siłę, która uniosła go do kas, gdzie kupił bilety na dalszą podróż, ryzykując, że nie zdąży ponownie wsiąść do pociągu. Wrócił i padł. Leżał tak kolejną dobę. Ja byłem z żelaza. Przez dwie doby nie drgnąłem.

W jednym z przedziałów podróżowała samotna dziewczyna z dzieckiem. Była piękna, a samotność nie pasowała do niej. Wręcz brakowało nam odwagi, żeby zagadnąć... ale nieustannie prowadziliśmy całym przedziałem rozmowy na temat jej urody i potencjalnych korzyści ze nawiązania znajomości. Rozpraszała naszą uwagę i zajmowała myśli.

Na szczęście, bo w Nowosybirsku odbierał ją koleś wyglądający na szefa miejscowej mafii. Do podziwiania pozostał nam już tylko syberyjski krajobraz za oknem.

W drogę zabraliśmy psychodeliczny horror „Desperacja” Stephena Kinga oraz „Buszującego w zbożu” J.D. Salingera. Czytaliśmy na zmianę, chwilami sami nie wiedząc, czy bardziej nierealny był psychopatyczny morderca z thrillera, czy to że byliśmy tysiące kilometrów od domu i w zasadzie nie mieliśmy pojęcia, dokąd jedziemy. Dla treningu, żeby nie zwiotczały nam mięśnie, wędrowaliśmy po pociągu. A to prawie pół kilometra, kilkadziesiąt wagonów – niezły spacer. Obserwowaliśmy z fascynacją, jak kolos wygina się na zakrętach. Musiało to być wygodne dla maszynisty, który zawsze mógł policzyć, czy nie zgubił któregoś z wagonów. Co jakiś czas mijaly nas z łomotem pociągi towarowe, mające nawet do stu wagonów. Liczyłem je, gdy podczas mijania następowała przerwa w rozmowach, bo huk nie pozwalał zebrać myśli. W końcu cichł i powracał stukot, a w jego monotonii chwilami nie bardzo wiedzieliśmy, co ze sobą zrobić. Obserwowaliśmy godzinami prawie nie zmieniający się krajobraz stepu, nie stepu, lasu nie lasu, rozległych przestrzeni, rzadko porastających krzewinek, pęków wątych brzózek i przycupniętych gdzieniegdzie dierewni.

W pociągu były wagony rosyjskie, podobne do tych, które znamy. Jednakże przemierzając skład, docieraliśmy do wagonów mongolskich, z czteroosobowymi przedziałami, piękną wiśniową tapicerką, przedziałami o wyższym standardzie, a do tego nowych. Panował w nich totalny chaos - Mongołowie grali w karty, wszędzie było mnóstwo porzucanych rzeczy. Świat już tutaj dzielił się na dwie części: europejską i azjatycką, do której zmierzaliśmy. I te dwa tak różne światy wcale nie miały ochoty się mieszać. W przeciwieństwie do nas – po pierwsze, chętnie zgodzilibyśmy się na upgrade przedziału, a po

drugie, mieliśmy już dość melancholii naszego świata, byliśmy ciekawi egzotycznego kolorytu i spontaniczności. Cieszyliśmy się, że jedziemy do Azji. Zaraz, zaraz, przecież już byliśmy w Azji. Kiedy wysiedliśmy z pociągu, próbowałem policzyć, ile dni minęło nam w podróży, ale nie udało mi się. Część w komie, część na bani, kilka stref czasowych...

Coś między pięć a siedem... Chyba.

Stacja Nauszki

Wtapiając się w klimat, szybko zrezygnowaliśmy z zapasu chińskich zupek, gdyż na każdej stacji babuszki sprzedawały za parę rubli kartoszki, chleb i placuszki, takie że palce lizać. A do tego mleko, śmietanę... Szybko staliśmy się koneserami i co przystanek niuchaliśmy za coraz bardziej wyrafinowanymi przysmakami. Chciałem czy nie, jako student handlu zagranicznego, na całej trasie pobierałem bezcenne darmowe lekcje tej sztuki. Mongolscy kupcy i rosyjscy biznesmeni wiozący towary z Moskwy, prowadzili nieustanne transakcje, w dzień i w nocy. Sprzedawanie, kupowanie, wymiana jednych towarów na drugie, było ich żywiołem. Na każdym, nawet najkrótszym postoju peron zamieniał się w kipiące życiem targowisko.

W pogranicznych Nauszkach zmiana wagonów i zmiana światów. Peron zalali Mongołowie. Za kratą dworca bazar czekający na podróżnych z bezlitośnie wyśrubowanymi cenami. Wbiłem się do środka i kupiłem dwa wielkie, okropnie tłuste szaszłyki. Jeszcze wtedy nie wiedziałem jak zatęsknimy za czymkolwiek co nie jest baranem lub jakiem. Przez kolejny miesiąc monotonne jedzenie miało stać się naszą wielką udręką. Tymczasem piękna pogoda i osiągnięcie granicy z Mongolią cudownie nas nastrajały. Holenderski turysta wymyślił kolejną zabawę. Biegał ze znalezioną gąbką i proponował mycie szyb w pociągu. Młoda Rosjanka, przemytniczka z naszego przedziału, nie patrząc nawet na faceta, rzuciła kilka rubli. Szokujące zachowanie Europejczyka zadziwiło nas. Gość wierzył w otaczającą go ochronną aureolę systemu prawa i tolerancję dla zachodnich, niekonwencjonalnych zachowań. Mimo zachęty, nie włączyliśmy się do jego gry. Nam nowy świat wydawał się obcy, napełniał pokorą i obawą, nakazywał zachowanie spokoju i wyczekiwanie, póki głębiej nie poznamy jego obyczajów, nie zrozumiemy zasad.

Przemytnicy

Kupiliśmy bilety na ten sam pociąg, jedynie na tyle żeby przejechać przez granicę, bo na tym polegała nasza systema. Bilety wewnątrz każdego kraju kosztowały grosze, jeśli się jednak umiędzynaradawiały, musieliśmy bulić jak za zboże. W przedziale dołączyliśmy do wielkiej przemytniczki. Wraz

z nami podróżowało tysiąc par butów, wiele ton sproszkowanego mleka, dwa wielkie pudła lekarstw. Kanapy zaś przykryto warstwą pięknych i z pewnością bardzo drogich dywanów, udających wyposażenie wagonu. Towarem wypchane były ściany, sufity i podłogi... Jakież to niezwykle pojemny pociąg...

Gdy ruszyliśmy, młoda Mongołka, która studiowała w Czechach, przyniosła mongolską słoną herbatę. Zrobiło się swojsko i sympatycznie. Co chwilę ktoś następny odwiedzał nasz przedział i wykorzystując strzępki znanych mu języków, wypytywał nas o cel podróży i pobudki skłaniające do tak dalekiej wyprawy. A my przecież nie mieliśmy

pojęcia po co i dokąd jedziemy, bo nad tym nie zdążyliśmy się jakoś zastanowić. Wjazd do Mongolii był jakby przekroczeniem granicy między naszą cywilizacją, a jej absolutnym brakiem, cofnięciem się o setki lat wstecz, do świata przyrody, koni i bezkresnych przestrzeni. Zamiana lokomotywy na parową, bo w Mongolii nie ma elektrycznych. Całe szczęście, że Rosjanie ułożyli tu tory. Z wielkiego komina wydostawała się gęsta chmura czarnego dymu, który przy dobrym wietrze wpadał do wagonów, leciutko nas przyduszając.

W pobliżu granicy tysiące Mongołów zakopywało w przedziałach tysiące butów, paczek mleka w proszku, pasków

klinowych, czajników, telefonów komórkowych, butelek

alkoholu, pudeł lekarstw, słodczy... Wbici na górne łóżko, siedzieliśmy z Kubą w kucki, obserwując wydarzenia z galerii

i drżąc z niepokoju, gdy współpasażerowie rozmontowywali na kawałki pędzący pociąg. Dopiero podczas dyplomatycznej wizyty celników, przebiegającej w atmosferze wzajemnego zrozumienia, pojęliśmy, że wbrew naszym obawom wszystko jest w porządku – perskie dywany na podłogach stanowiły wyposażenie pociągu, lekko odgięta pokrywa

w suficie nie sugerowała, że ukryto za nią siedemdziesiąt pudeł ze skarpetami, a nasi

współpasażerowie byli turystami jadącymi wypocząć nad morzem, na plażach słonecznej

Mongolii. Pozory jednak należało zachować, żeby nie robić z celników idiotów. Wreszcie

mundurowi przeszli, wszystko wróciło do realu, ruszyły szeregi mrówek – robotnic. Ktoś przynosił

buty, zabierał lekarstwa, pytał o swoje cukierki... i z podejrzeniem patrzył na nas. A my, dwaj

studenci elitarniej uczelni ekonomicznej, kierunek handel zagraniczny, skuleni na skrawku jedynej

wolnej pryczy, patrzyliśmy na to wszystko, oczom nie wierząc. Bo na studiach nikt nie wykładał

„zarządzania kanałami przemytniczymi”, ani „logistyki i handlu na dworcach kolejowych Rosji” .

Może powinni takie przedmioty wprowadzić?

Ulaanbataar!

I wreszcie, po tygodniu jazdy – Ulaanbataar! Na peronie witały nas tysiące ludzi – jedni odbierali towar, drudzy natychmiast chcieli kupować. Kierownik pociągu gwizdał dla zasady, że niby na dworcu nie wolno handlować, a starsza kobiecina usiłowała nabyć od nas puste pięciolitrowe bańki po wodzie oligoceńskiej. Przez chwilę myśleliśmy czy może lepiej ich nie sprzedawać, skoro są takie cenne, ale wygoda przeważała. I tak mieliśmy na plecach po trzydzieści kilogramów, w tym głównie jedzenie z Polski.

Musieliśmy prędko dobić się do Jerry’ego, poznanego w Niemczech weterana wojny w Wietnamie, który woził bogatych Niemców po dzikich zakątkach świata. Umówił się z nami, że dołączymy do grupy i pomożemy mu podczas wyprawy. Tylko czy o nas pamiętał? Powinien być jeszcze w mieście. Mieliśmy zamiar na jego współnika, tubylca Niambata. Próbowaliśmy zadzwonić – karty były drogie, więc kupiliśmy od zaczepionej na ulicy dziewczyny używaną, z połową impulsów. W żaden sposób nie mogliśmy się dodzwonić, a tłum Mongołów napierał na telefon. Gdyby znali coś takiego jak kolejka, a nie próbowali wejść wszyscy naraz! Na dodatek snuł się za nami wąż taksówkarzy i ludzi, którzy chcieli wynająć nam pokój, przed którymi uciekaliśmy i ta ucieczka nadawała tempa naszej podróży po Ulan Bator.

Zaledwie wyszedłem na ulicę, a Kuba już siedział w autobusie, bo mu się wydawało, że dojedziemy nim do poczty. I dojechalśmy do tej poczty, bo Kuba – co mnie strasznie wkurza – zazwyczaj ma rację. Po setnej próbie wylapaliśmy w słuchawce jedyne zrozumiałe słowa: „Jerry, hotel Grand”. Chwilę później dotarliśmy do hotelu Grand, gdzie, niestety, nie czekały na nas dobre wiadomości. W busie do odległego o 700 km Moron, skąd wyruszyć miała niemiecka konna wyprawa prowadzona przez Jerry’ego, nagle zabrakło dla nas miejsc. Bo coś tam! Wprawdzie za trzy dni miał tam lecieć samolot... Samolot? Latania samolotem, jak na razie w żadnym przypadku nie mieliśmy w planach. Samolot kosztował wówczas około 100 dolarów, co dla nas było kosmiczną sumą. Mogliśmy sobie pozwolić tylko na transport naziemny.

No to się zaczyna

Zatelefonowaliśmy do mówiących po angielsku dziewczyn, które na dworcu wręczały cudzoziemcom wizytówki z reklamą prywatnych kwater. Przyszły po nas, tak samo życzliwe, uśmiechnięte jak wcześniej. Po chwili wylądowaliśmy w guesthousie, kilkupokojowym mieszkaniu, gdzie materac przy materacu koczowali włóczykije z całego świata, a przynajmniej z tej jego części, w której standard życia na to pozwalał: Niemcy, Australijczycy, Belgowie, Szwedzi... Dwie Holenderki przez sześć miesięcy objechały na rowerach Wietnam, Chiny, Kambodżę, Tajlandię. Wcześniej sprzedały domy, samochody i postanowiły do końca życia jechać rowerami przez świat. Wszyscy mieli na karku powyżej trzydziestki i nikt nie wierzył, że nie mamy nawet po 20 lat. Śmieli się, że zdecydowaliśmy się na taki spontan i wyruszyliśmy bez przygotowania. Polacy byli wówczas dość rzadko spotykani na trasach podróży, więc samym pochodzeniem budziliśmy zainteresowanie. Inni podróżnicy udzielali dobrych rad i przyjmowali szerokim gestem do wielkiej rodziny. Rozsiedliśmy się na dobre i syciliśmy się atmosferą, a tu nagle wybuchła wiadomość: do Moron, do Jerry’ego możemy pojechać rano busem, który za dobę dotrze na miejsce.

Zebraliśmy więc dopiero co uprane ciuchy, spakowaliśmy w pośpiechu plecaki, cały czas rozmawiając z ludźmi. Nie mogliśmy się na sycić tymi rozmowami. Wymienialiśmy się doświadczeniami, opowieściami. Tu po raz pierwszy trafiliśmy do świata backpackersów, ludzi będących w drodze, nieustannie poszukujących, otwartych na nowe. Często tych, którzy rzucili korporacyjne życie by ruszyć na szlak. My pochodziliśmy ze świata SHG, gdzie korporacje były marzeniem, a tu dowiadaliśmy się że kiedy się w nich jest to marzeniem jest podróżować po Mongolii. Coś chyba nie pasowało? Docenialiśmy jednak szansę jaką dawało nam życie i planowaliśmy przedłużyć nasz pobyt w Azji. Bardzo szybko powstał więc nowy projekt: „Czemu nie mielibyście jechać do Chin? Przecież to tak blisko”.

No właśnie, że też wcześniej o tym nie pomyśleliśmy.

Z pełnym zaufaniem powierzyliśmy gospodyniom forszę i paszporty. Wszyscy podróżni bez strachu zostawiali tu swoje rzeczy. Nikomu nawet nie przyszło do głowy, że mogłoby się coś złego przydarzyć. Następnego ranka już od ósmej siedzieliśmy w samochodzie. Odjechalśmy przed południem, gdy zebrał się komplet pasażerów. No i teraz się zaczęło!

Titanic w stepie

Kto nie przejechał mongolskimi bezdrożami ponad pół tysiąca kilometrów w czternaście osób (później w dziewiętnaście), dziesięcioosobowym, starym, rozklekotanym rosyjskim minibusie UAZ, z prędkością 30 km/h, kto nie przeżył trwającego 28 godzin piekła miksowania na gorąco ludzkiej masy, ten nie wie nic o prawdziwej podróży. Siedzieliśmy na trzech siedzeniach we czwórce wraz z małą dziewczynką i brzydkim starcem. Dzieciaki w pojeździe były chyba wsje obszcze (należące do wszystkich), bo jedna osoba je karmiła, inna na nie krzyczała. Samochód nieustannie obijał się na kamieniach, a my uderzaliśmy na zmianę, raz głową o metalowy dach, raz tyłkiem o twarde siedzisko. Nasz sąsiad, któremu warunki podróży w ogóle nie przeszkadzały, knuł od początku, żeby się wygodnie przespać. Najpierw delikatnie oparł się o moje plecy i zaczął swoją ciężką głowę wbijać mi w krzyż. Szybko zrozumieliśmy zasady dobrego zachowania w podróży – nie było żadnych zasad, zaś przestrzeń intymna, o której tak wiele można przeczytać w podręcznikach do psychologii, wynosiła zero centymetrów. Sąsiad zabrał się za Kubę, teraz z niego próbując sobie zrobić legowisko. Kuba odsuwał się, koleś leciał na dół, zabierając Kubie miejsce siedzące. Nie było rady – Kuba siadał mu na głowie, więc gość się budził i udawał, że nie wie, co się stało. My też udawaliśmy. W ogóle wszyscy udawali, bo każdy robił swoje i nie zwracał uwagi na pozostałych. Byle się jakoś przespać. Szukając alternatywnego rozwiązania, Mongoł wziął jedno z dzieci i posadził obok siebie, wykorzystując je jako podglówek. Wielkie oczy dziewczynki wyrażały lekkie niezadowolenie, a stary uciął sobie drzemkę. Aż w końcu mała zaczęła wymiotować, a inne dzieci za nią. Oczywiście nikt specjalnie się tym nie przejmował, tylko jedna z potencjalnych matek, jakby od niechcienia, uchyliła okno, jakby w ogóle nikomu nie przeszkadzał smród.

Wieczorem dojechaliśmy do miasteczka, w której nieustannie ryczał megafon. W ten sposób usiłowano zdobyć publiczność na wyświetlanego wieczorem „Titanica”. Byliśmy pośrodku jałowego stepu, a tu „Titanic” w kinie! Do morza tysiące kilometrów, najbliższy większy zbiornik to położone kilkaset kilometrów na północ jezioro Khovsgol. Jakież ten film musi zrobić na nich wrażenie.

Weszliśmy do knajpy. Cofnęliśmy się i jeszcze raz weszliśmy. Co tam film o oceanie! My tu dopiero mieliśmy niespodziankę: we wnętrzu muzyka i stepowe disco bandžo, a do tego śliczne dziewczyny. Najczęściej Mongołki miały twarze jak piłki Spaldinga (piłki do koszykówki), z dwoma czerwonymi kołami na policzkach od mrozu. A tu, w dyskotecie na pustyni, prawdziwe piękności. Jedyne dyskomfort polegał na tym, że tymi dwiema dziewczynami byli zainteresowani wszyscy zgromadzeni mężczyźni. Niektórzy mieszkańcy wioski prawdopodobnie czekali na ich wdzięki od urodzenia, bo innych dziewczyn w okolicy nie było. Nam po prostu nie mogło się udać, bo kandydatów na miejsce było więcej niż na Prawo na Uniwersytecie Warszawskim. Mieliśmy wrażenie, że Mongołowie postanowili szybko wyeliminować niespodziewaną konkurencję. Dyskoteka była maleńka, w tłoku co chwila dochodziło do zamieszek i uwielbianego przez młodych Mongołów mordobicia, a nam wcale nie zależało na tym, żeby się do tej zabawy przyłączyć. Co jakiś czas ktoś próbował wyciągnąć nas na sparing, ale na szczęście, nasi towarzysze otoczyli nas opieką, strzelając to tu, to tam miejscowym z bańki. O bliższym kontakcie z dziewczynami lepiej było zapomnieć, może dzięki tej decyzji mamy dziś w miarę proste szczęki i po komplecie żeber.

Ziemia nomadów

O temperamencie Mongołów więcej dowiedzieliśmy się w ciągu kilku dni poprzedzających wielkie święto Nadom. Podczas włóczęgi zakurzonymi ulicami obserwowaliśmy coraz większą wojowniczość młodych ludzi, którzy z byle powodu brali się za czuby. W tych dniach bójki na ulicy wybuchały niemal nieustannie i jakby bez powodu. Pamiętam opowieść Sylwka, pomocnika piekarza spod Poznania, który w drodze do Chin przejechał na rowerze Mongolię. Szczęściem, niezły był z niego zakapior i szybko odnalazł się w nowej rzeczywistości, bo co rusz się z kimś w tej Mongolii bił, gdyż miejscowi koniecznie chcieli się zmierzyć z Europejczykiem. A jak któregoś rozłożył, to zaraz następnego dnia już miał poumawiane sparingi, bo inni też chcieli spróbować.

Skłonność do bójek tłumaczyliśmy tym, że w Mongołach, ludziach wielkich przestrzeni, ciasnota budzi agresję. Odwieczni pasterze, mieszkańcy nieograniczonego stepu, stłoczeni w wielkim mieście znajdowali się zbyt blisko siebie. Nie nauczyli się, jak żyjący od wieków w zagęszczeniu Chińczycy, budowania sobie przestrzeni intymnej, zamykania się w niej, izolowania od otaczającego tłumu, bo takiego zjawiska do niedawna nie znali. Wolność Mongołów zawierała się w tysiącach kilometrów kwadratowych otwartych przestrzeni. Mongolia to jedno z najrzadziej zaludnionych państw na świecie, bez prawa własności ziemi. Tu do niedawna każdy stawiał dom tam, gdzie było wolne miejsce. Potomkowie Czyngis-chana dopiero niedawno zaczęli oznaczać swoje terytorium – wcześniej, jako nomadowie, nie mieli takiej potrzeby, ich teren był tam, gdzie przebywali. Zmienił się styl życia, zaczęło się znakowanie miejsca. Więc lepiej nie wchodzić Mongołom w drogę albo od razu umówić się na sparing z lokalnym mistrzem zapasów.

Tymczasem stół, przy którym zasiadliśmy z pozostałymi pasażerami, ugiął się od alkoholu i żarcia. Z Kubą zaniepokoił się o koszty biesiady. Fundatorem był kierowca, który poinformował nas, że podróż wydłużymy o mniej więcej sześć godzin, bo jeszcze pojedziemy po jego brata, a jak się później okazało, również po należąca do rodziny kozę. Za chwilę, po raz kolejny, przyczepił się do nas jakiś osiłek, ale momentalnie dostał „z bańki” od jednego z naszych współpasażerów, co już powoli przestało robić wrażenie. Po uczcie chwilę przespaliśmy się w autobusie i ruszyliśmy dalej. Głęboko w nocy, po kilku godzinach kolebania i walenia podwoziem o muldy, zmęczony szofer nadaremnie usiłował wypatrzeć we wstecznym lusterku zmiennika, który twardo spał po kilku piwach. Kilka razy się odwrócił i wreszcie jego wzrok padł na mnie: „Umiesz prowadzić? To pojedziesz dalej”. I naprawdę zatrzymał busa. „Tylko nie rozpędzaj się ponad sześćdziesiątkę”. Prawie nie widziałem drogi, ale gość znał ją na pamięć i podpowiadał, jak mam jechać. Nalewając sobie w miseczkę herbaty, chwalił nowego kierowcę: „Parcie, ani kropki nie wylałem, tak dobrze jedzie”. W złą chwilę to powiedział, bo akurat wpadliśmy w dziurę. Chlup... i wszyscy ryczeli ze śmiechu. Katowałem pojazd trzydziestką, z trudem utrzymując go na „drodze”, którą moim zdaniem już dawno zgubiliśmy. Dla oszczędności zgasił światła, więc nie widziałem nawet kierownicy. Kompania jednakże była już lekko podchmielona i nikt nie przejmował się kierownicą, drogą, a tym bardziej mną.

Po przesiadce zdobyłem lepszą pozycję i usnąłem kołysany na stepowych muldach. Obudziłem się o świcie. Przedemną majączył niewyraźny kształt dziecięcej buzi i pomyślałem: „Ależ ten

bachor wstrętny. Ma brodę? Rany, przecież to koza!”. Jasne, przecież to koza brata kierowcy. Stała i tak się na nas gapiała, a jak Kuba pociągnął za sznurek, to robiła „meee”. Zupełnie sprawna koza. A obok miałem jeszcze lepszy numer. Długi Niemiec złożony w scyzoryk: podciągnął kolana pod brodę i chrapał. Naprzeciwko dwaj starsi Mongołowie z zachwytem wpatrywali się w jego obnażoną goleń. Prawdopodobnie pierwszy raz widzieli owłosionego faceta. Grubszy zbliżył drapieżnie zgięte w obcęgi palce i ruchem kobry wyrwał Klausowi rudy włos. Oglądali zdobycz pod światło i byli zachwyceni.

Dyrektor Gambat

Dotarliśmy do Moron, gdzie miła pani z Czerwonego Krzyża miała za zadanie dostarczyć wszystkich pasażerów „pod sam dom”. Wiedzieliśmy tylko tyle, że na Jerry’ego mamy czekać nad rzeką, na wysokości lotniska lub w okolicy domu Gambata. Gambat, brat Niambata, był ponoć znanym w całym Moron przedsiębiorcą. Ale za cholerę nie wiedzieliśmy gdzie mieszka. Długo jeździliśmy w kółko, zanim znaleźliśmy właściwy trop. Dwa pokoje z kuchnią w trzypiętrowym, szarym bloku, na ścianach rodzinne zdjęcia, wielka sofa, telefon. Gospodarz dyrektorował starej, pokomunistycznej fabryce. Na bramie i nad drzwiami wejściowymi wisiały jeszcze wizerunki wielkich wodzów i przodowników pracy. Przed zakładem zaś znajdowały się tablice z podobizną Lenina i cytaty z dzieł ojca, jak widać, wielu narodów. W miasteczku, jak w całej Mongolii, trwała kampania wyborcza do parlamentu. Kandydaci startowali ze swoich rodzimych okręgów, w których chcieli zyskać poparcie sąsiadów. Samochody były oblepione zdjęciami, po mieście jeździły uazy obwieszane megafonami, przez które wygłaszano komunikaty agitacyjne. Podobno ostatecznie w wyborach w Mongolii wygrywa ten który dysponuje „rulonem” (pieniędzy), chodzi po domach i daje po stówce zielonych w rękę każdemu wyborcy. W sumie to duży wysiłek, bo domy są porzucane daleko po całym stepie.

Niewiele starszy od nas chłopak, widząc cudzoziemców, zaczął Kubę śmiałą angielszczyzną. Proponował mieszkanie, konie, jedzenie, samochód, wszystko, co tylko sobie życzymy. Podziękowaliśmy, byliśmy bowiem umówieni z Jerrym. Koleś oprócz angielskiego znał również rosyjski i o wszystko nas wypytywał. Był krawcem wyspecjalizowanym w szyciu tradycyjnej odzieży mongolskiej. Wprawdzie, kiedy spytaliśmy o konie, okazało się, że już nie był krawcem, tylko właścicielem stada i instruktorem jazdy... Mniejsza z tym, liczy się elastyczność młodego przedsiębiorcy. Rosyjskiego nauczył się w szkole. Uznał jednak, że dla przedsiębiorczego ducha jest to zdecydowanie za mało. Zdobył kasety, książki i sam opanował angielski na całkiem niezłym poziomie. Rozmawiało się z nim tak, jakby mieszkał w sąsiednim bloku na naszym osiedlu. Tylko ciuchy miał niemodne, a zamiast dobermana - kozę.

Noc w stepie

Cudowny, niewyobrażalny zachód słońca przy akompaniamencie plusku rzeki i syku płomieni ogniska. Wdrapaliśmy się na najwyższe wzgórze w okolicy, graliśmy na harmonijce, śpiewaliśmy i chyba jeszcze nie docierało do nas, gdzie tak naprawdę byliśmy. Nie czuję się na siłach opisywać urzekającej monotonii stepu, piękna gór, rzek i jezior, nieznanej mi dotąd przyrody. Kto ciekaw, niech sięgnie do literatury i pomnoży wszystkie opisy przez sto. Może jeszcze jest szansa na

podróż przez dziką Mongolię, która dziś stanowi wielką kopalnię minerałów i cel wielkich inwestycji z całego świata. Może. Lecz miejsca które opisuję, z pewnością wyglądają już inaczej.

Wędrówka przez step z Jerry'm, weteranem oddziałów specjalnych armii amerykańskiej, była przeżyciem szczególnym. Wojskowy porządek nie psuł przyjaznej atmosfery w oddziale złożonym z czwórki Niemców – profesora fizyki, bankowca, renomowanego konsultanta, wysoko wykwalifikowanej sekretarki – i dwóch polskich studentów. Niezależnie od pogody i zmęczenia, błyskawicznie rozbijaliśmy namioty. Niemal w tej samej chwili gotował się na ognisku posiłek.

Drugiego dnia wieczorem odwiedziliśmy Caatanów. Kupiliśmy od nich jakieś drobne wyroby ze skóry zwierząt

i z drewna. Jerry wywołał ogromną radość, kiedy obdarowywał koczowników zrobione polaroidem zdjęcia. Pstrykał fotkę, a potem podawał ją małej Mongołce i kazał ukryć pod kurteczką. Wówczas wypowiadał całą masę niezrozumiałych zaklęć i gdy dziewczynka wyciągała białą kartkę zza pa-zuchy, widziała na niej siebie i rodziców. Nie mogła się nadziwić, podobnie jak ja, bo polaroid widziałem drugi raz w życiu i wydawał mi się równie zaskakujący jak miejscowym. Caatanowie żyją nad podziw skromnie, utrzymując się głównie z hodowli reniferów. Za poroże dostają od handlarzy z miasta jakieś nędzne w stosunku do wartości towaru grosze, które wydają głównie na herbatę i tytoń. W swoim gierce mają nieliczne przedmioty pochodzące z cywilizowanego świata: lusterko, długopis, zapalniczkę, prezenty darowane przez turystów w zamian za gościnę. Wówczas to wszystko nas dziwiło, pierwszy raz stykaliśmy się z ludźmi żyjącymi w tak ubogich, z naszego punktu widzenia, warunkach.

A przecież mieli stado reniferów, mieli gierce, mieli wszystko czego potrzebowali do życia, byli szczęśliwi. Zajęło mi kolejne osiem lat podróży żeby to zrozumieć.

Cały tydzień jechaliśmy dolinami, nocowaliśmy nad rzekami, wieczorami słuchaliśmy długich opowieści Jerry'ego o polowaniach, zwierzętach, przyrodzie. Byliśmy w środku baśni, zatracając świadomość istnienia zewnętrznego, realnego świata. Nigdy nie opowiadał nam jednakże o wojnach, w których uczestniczył. Co najwyżej o tej pierwszej, czyli o II wojnie światowej. Wiedzieliśmy że walczył w Wietnamie i w Pustynnej Burzy, ale nie mieliśmy śmiałości by o to pytać. Któregoś dnia, gdy zadumany siedziałem na kamieniu, nagle poczułem uderzenie w okolicy łędźwi, a potem duszenie i spadłem na trawę. Koło szyi śmignęła mi łyżka, jakby ktoś podcinał mi gardło. Wszystko trwało moment. To Jerry się wygłupiał. A w tych jego wygłupach było coś groźnego, coś, czego nie mógł ukryć. Zaatakował mnie z wprawą i wyuczoną perfekcją, nie pozostawiającą żadnych wątpliwości – opowieści Jerry'ego to nie były bajki, choć często tak brzmiały. Podejrzywałem, że to, co słyszeliśmy o jego życiu, to tylko ułamek niezwyklej historii, pełnej wydarzeń, o których wolał milczeć.

Wiatr wolności

Kolejnego dnia na rozległej polanie mijaliśmy stado dzikich koni. Zawsze w takim momencie przewodnicy krzyczeli, byśmy mocno trzymali swoje wierzchowce, w każdej chwili mogły bowiem poczuć wiatr wolności i wyrwać się za stadem. Czuliśmy niepokój, wręcz podniecenie zwierząt. Mój gniadosz nerwowo dreptał w miejscu. Wtem jeden z jucznych, zrywając pęta i zrzucając z siebie krępujące toboły, ruszył za stadem dzikich koni. Gdy galopował za wolnymi braćmi, cały otaczający nas świat zwierząt zdawał się kipieć energią, potęgą swobody.

Zgłupieliśmy. Dla Mongołów nie była to pierwszyna. Przewodnik momentalnie ruszył w pościg i po krótkiej pogoni doprowadził uciekiniera, po czym spętał mu nogi powrozem.

Stepowe zwierzęta w niczym nie przypominały hodowlanej, kapryśnej i delikatnej europejskiej arystokracji. W ekstremalnych sytuacjach nie głupiały, lecz przejmowały inicjatywę, ignorując zabiegi niewprawnych jeźdźców. Podczas niesamowitej przeprawy przez bagna, brnąc przez kilka godzin w grząskim lesie, bez oporów zdawaliśmy się na instynkt i doświadczenie naszych koni. Luzowaliśmy wodze, konie ostrożnie wchodziły w bagno i od tej chwili decydowały już o wszystkim. Uważnie stąpając, wybierały drogę. Chwilami zapadały się po brzuchy, wówczas gwałtownie wyszarpywały nogi z błota i szukały stałego oparcia. Powoli i konsekwentnie pokonywały rozległy, śmiertelnie niebezpieczny obszar.

Zdarzało się ponoć, że również stepowe zwierzęta instynkt zawodził. Czasem, atakowane przez gzy, dostawały świra. Wówczas ginęły w błotnej głębinie. Twarde stepowe życie nie pozbawiło jednakże rumaków charakteru, za to nauczyło obchodzenia się z ludźmi. Wierzchowiec Kuby był nie mniej przebiegły od jeźdźca, więc od pierwszej chwili toczyli między sobą walkę o pozycję lidera. Niestety, wszelkie próby wspólnego wejścia w galop inicjowane przez kolegę kończyły się ostrym hamowaniem. A mój ogierek, delikatnie pobudzony, ruszał niczym wiatr i mógł pędzić długo, nie czując zmęczenia.

Przed nami roztaczała się płaszczyna cudownie zielonej przestrzeni, trawa była niska, sporo kamieni. Po lewej stronie Shishked Gol, mongolska część Jeniseju, przybierająca z biegiem na sile, by przemienić się w jedną z największych rzek Azji. Po prawej stronie strome zbocze, a na nim rzadki, iglasty las. Ściągnąłem wodze konia, zaś Kuba tłukł swoją szkapę, ile wlezie, dzięki czemu obaj lecieliśmy tym samym, szalonym pędem. Łeb w łeb wypadliśmy zza skał, prosto w ogromne stado kóz i baranów. W oczach mgła, pęd i wiatr. Nie próbowaliśmy nawet zwalniać i wierzchowce nie powstrzymywały biegu. To była prawdziwa wolność, wolność przestrzeni, wolność od strachów i obaw, wolność doskonała. Byliśmy szczęśliwi. Fale zwierząt z bekiem rozplywały się przed nami, a konie ,jakby nie czuły zmęczenia, szły w pełnym galopie. Erdene, nasz przewodnik, wiele opowiadał o koniach. Na przykład mój, nauczony ciągłego galopu przez kilkadziesiąt kilometrów, przed kilku laty był zwycięzcą nadamu w Moron. „A mój, a mój?”, pytał Kuba o swoją szkapinę. „Tego konia zjemy zimą”, odrzekł pasterz. „Najlepsze jest serce. Wrywa się je, kiedy zwierzę jeszcze żyje”. Kuba i jego koń wyraźnie się zasmucili.